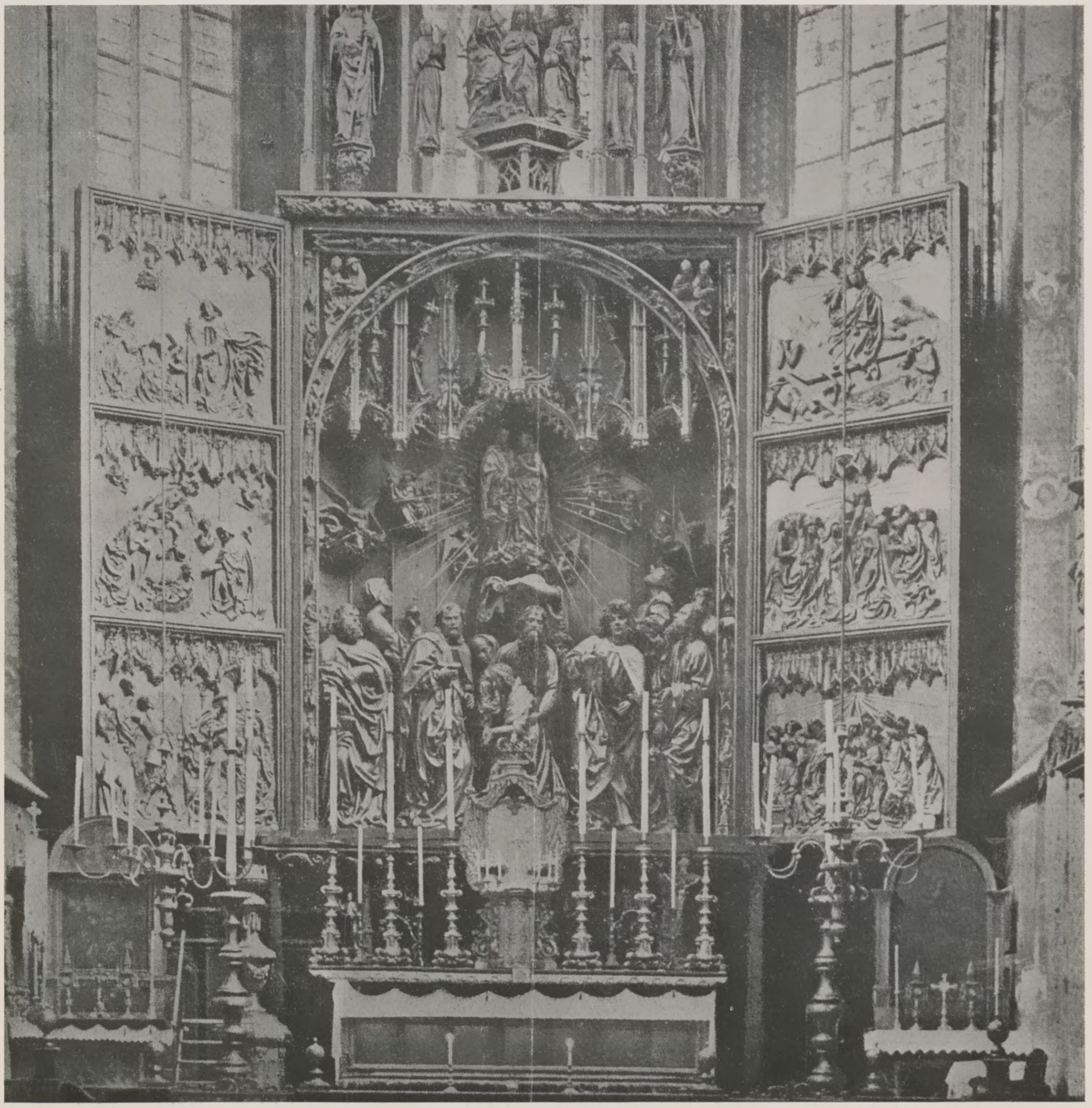
TYGODNIK POLSKI

THE POLISH WEEKLY

Vol. 2. Nr. 44 (96) Nowy Jork, 5 listopada — New York, 21, N. Y., November 5th, 1944 Cena 15 ct.



Ołtarz Wita Stwosza w kościele Marjackim w Krakowie

STANISŁAW STROŃSKI

PRAWO

Polska straciła w ciągu tej wojny wolność i władzę na całym swym obszarze oraz poniosła i nadal ponosi bezmiar ofiar. Pozostało jej tylko prawo do wszystkiego co miała. Pod jego sztandarem walczy też o wszystko.

Jak powiedziano, że krew jest płynem bardzo osobliwym, tak można powiedzieć, że prawo jest tworem bardzo osobliwym. Albo się jest na nim w pełni, ale nie jest się wcale. Nie można być jedną stopą na nim a drugą za nim. Nie kroczy się jednocześnie, według starego wyrażenia, prawem i lewem.

Skoro nam zaś pozostało jako ostoja najcenniejsza, właśnie prawo, musimy strzedz tego toru najbaczniej i najściślej, jak źrenicy oka, a oka w głowie.

W najważniejszej dziś dla nas sprawie — całości obszaru Rzplitej — istnieją i w pełni obowiązują obecnie wyraźne przepisy naszego prawa wewnętrznego oraz postanowienia prawa międzynarodowego.

Nasze prawo wewnętrzne jest w tym względzie, nieskazitelnie proste i jasne. Art. konstytucji zabrania zbycia jakiejkolwiek części obszaru Państwa i zmiany granic inaczej niż za zgodą Ciał Ustawodawczych. Krótko mówiąc: inaczej nie wolno. A to znaczy, że wszelkie inne załatwienie byłoby prawnie nieważne.

W tem zaś określeniu, że byłoby to prawnie nieważne, mieści się treść ważna nietylko dla rządu polskiego lub jakiegokolwiek niby-rządu polskiego, któryby cośkolwiek z obszaru Państwa bez zgody Izb Ustawodawczych odstępywał, lecz także dla rządu obcego, któryby cośkolwiek z obszaru Państwa Polskiego bez zgody Izb Ustawodawczych nabywał. Na to właśnie istnieją przepisy konstytucji w tych sprawach najdonioślejszych, a dotyczących także państw innych i umów z nimi, aby również i rządy obce wiedziały co jest prawne a co nie. Nieważność zmiany własności, dokonanej nieprawnie, nietylko przysługuje pierwotnemu posiadaczowi, lecz także spada na nabywcę, oraz obowiązuje postronnych, którym nie wolno jej uznać.

Mówiąc przykładowo, rządca może sprzedać konia lub konie ze stadniny z wiedzą i z upoważnieniem właściciela, ale jeśli sprzeda na własną rękę, zarówno on, jak ten kto nabywa w takich warunkach, są koniokradami.

Tak więc, Rząd Polski, stojący na gruncie prawnym, nie może obecnie, bez Ciał Ustawodawczych powołanych w trybie należytem, zawrzeć ważnego prawnie układu o zmianie granic przez odstąpienie części obszaru państwa. Zejście zaś z gruntu prawnego w tej jednej sprawie byłoby dla Rządu Polskiego jednoznaczne z samobójstwem, gdyż stoi on mocno tylko na gruncie prawnym, a raz z niego zszedłszy, stałby się igraszką zdarzeń i mógłby być przez cobądź i przez kogobądź spychany. Zarazem zaś takie posunięcie samobójcze na nic by się nie przydało, gdyż nieprawne odstąpienie obszaru bez upoważnienia, przez nierzetelnego niby-pełnomocnika, pozostałoby nieważnem i ze stanowiska właściciela i dla nabywcy.

A wszelkie załatwienia poza gruntem prawnym — czy to przez rząd prawny ale omijający prawo czyto przez jakiś t. zw. rząd samozwańczy — byłoby tylko zabiegiem koniokradczym bez mocy prawnej.

Tak wygląda sprawa ze względu na wewnętrzne prawo państwowe polskie.

Lecz w tej sprawie jesteśmy też związani, a tem samem podparci, postanowieniami międzynarodowemi.

Na gruncie prawa międzynarodowego bowiem sprawa przedstawia się tak:

1. Obowiązująca granica między Polską a Rosją ustalona jest w Traktacie Ryskim z 18 marca 1921 i uznana przez Mocarstwa, w szczególności przez Wielką Brytanję 15 marca 1923, a przez St. Zj. Ameryki 5 kwietnia 1923.

2. Dowolną zmianę tej granicy w układzie niemiecko-rosyjskim, Ribbentrop-Mołotow z 28 września 1939 uznała Rosja za nieważną w układzie polsko-rosyjskim z 30 lipca 1941, a przy tej sposobności W. Brytanja tegoż dnia i St. Zj. nazajutrz potwierdziły, że nie uznają żadnych zmian granic dokonanych w Polsce po sierpniu 1939.

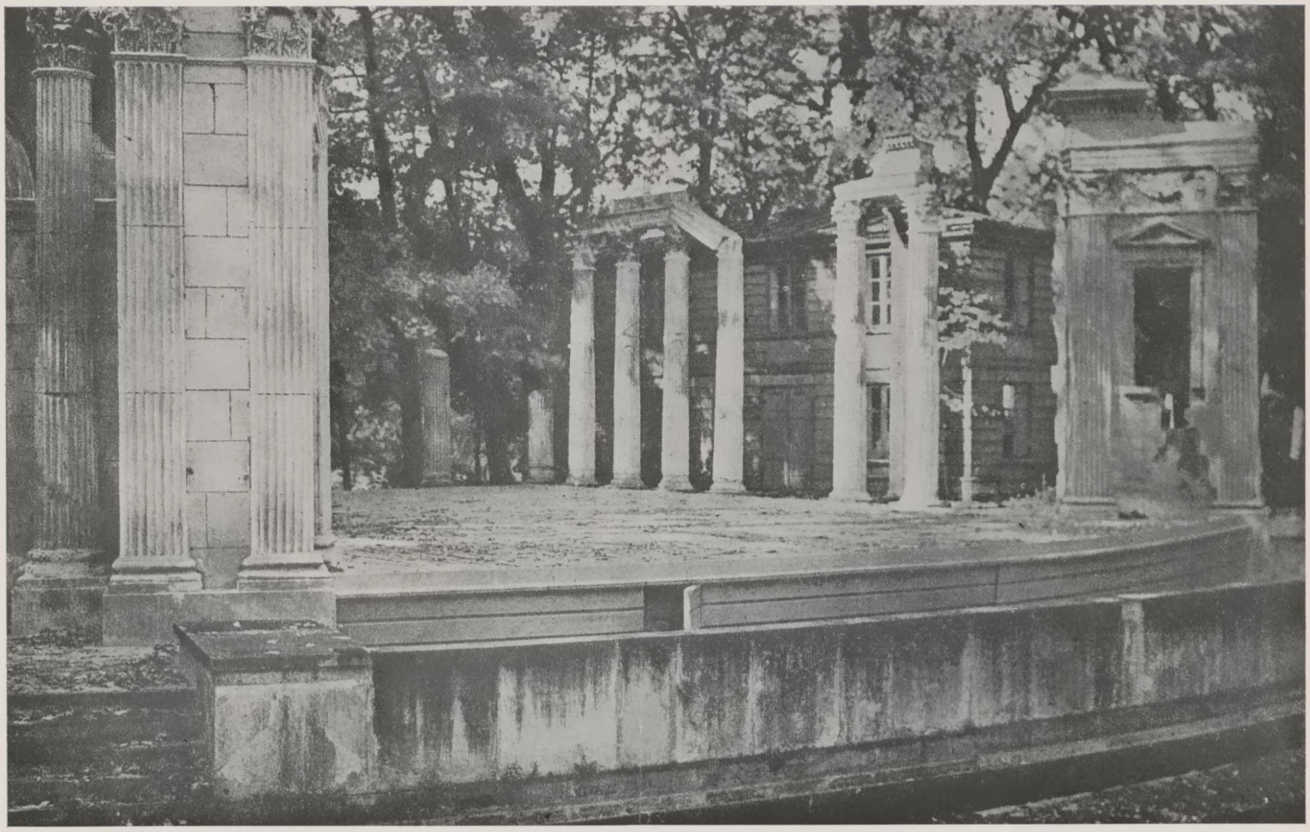
3. Karta Atlantycka z 14 sierpnia 1941, zapewniła wogóle Narody Zjednoczone, że W. Brytanja i St. Zj. Ameryki nie uznają zmian granic dokonanych w krajach Narodów Zjednoczonych w czasie wojny bez swobodnie wyrażonej zgody narodów, co w odniesieniu do Polski schodzi się z naszem postanowieniem konstytucyjnem o konieczności zgody Izb Ustawodawczych.

4. Aktem z 1 stycznia 1942, podpisanym w Waszyngtonie przez 26 Narodów Zjednoczonych z uczestnictwem Polski i Rosji, taż sama Karta Atlantycka przyjęta została jako podstawa prawna przez wszystkie Narody Zjednoczone.

Wszystkie te postanowienia wiążą zatem, na gruncie prawa międzynarodowego, zarówno Polskę jak Rosję.

Oto stan prawny rzeczy, na wewnątrz i nazewnątrz.

Czyż nie byłoby to szaleństwem, gdyby w takim stanie rzeczy polityka polska schodziła z gruntu prawnego suto pieczętowanego krwią walki narodu w kraju i na polach bitew w świecie?



Teatr na wyspie w Łazienkach w Warszawie

JAN LECHOŃ

TEATR NA WYSPIE

Jeżeli z Twoich ruin coś jeszcze zostało
W tem mieście, które całe jest ruiną nową,
Jeżeli groźną, chmurną ocieniony chwałą,
Stoisz jeszcze na wyspie w noc listopadową
I jeśli greckie bóstwa tych dni się nie zlękły,
Jeśli Niki w przestrachu nie złożyły skrzydeł,
I Ares od podniebnych nie zadrżał straszydeł,
A Kora i Demeter przed wrogiem nie klękły,
To ja wiem, co się teraz gra na Twojej scenie:
Widzę łunę i miljon podniesionych dłoni
I słyszę chór, co woła przy Pallas Atenie:
"Przekleństwo tym, co Polsce odmówili broni!"

JERZY BAZAREWSKI

W KAWIARNI ADAMA MICKIEWICZA

Rosita ma dwadzieścia dwa lata i chodzi przeważnie w fioletowej, aksamitnej sukience. Rosita mieszka obok polskiego domu wycieczkowego w Rzymie i zagadnięta po angielsku sakramentalnem: how are you? — odpowiada po polsku: dobrze. Dziewczyna studjuje literatury antyczne, jest Rzymianką i nie wie gdzie jest kawiarnia El Greco.

W niedawno minionej epoce czarnych koszul, młodzież włoska w chwilach wolnych od pracy szła na boiska Balilli. Instytucje pełne mrocznych salek i marmurowych stolików, pełne historji wzdychającej po słabo oświetlonych kątach, leżały poza sferą zainteresowań rasowych dziewcząt i smukłych chłopców. I dlatego, myślę, Rosita z Rzymu nie wiedziała do wczoraj o El Greco, kawiarni artystów całego świata, kawiarni artystowskich włóczęgów wszystkich narodowości.

W roku 1760, Federico Gubinelli, trochę malarz a trochę poeta, założył w Rzymie na via Condotti (opodal Piazza di Spagna) kawiarnię. Zeszli się do ślicznych salek rzymscy artyści, popatrzyli, rozczesali palcami brody w przystępie ukontentowania, postanowili tutaj przychodzić.

A potem — biegły lata, narastały wydarzenia, Europą wstrząsały wojny, z hukiem walił się trony. Ale kawiarnia trwała. Poszły o niej słuchy wzdłuż i wszerz. Od Londynu do Moskwy, od Stokholmu do Nowego Jorku. Sławny malarz pisał do przyjaciela przebywającego na drugim końcu Europy — właśnie o El Greco. Znakomity muzyk berliński czy paryski, po koncercie w Rzymie szedł na via Condotti.

Gdy w roku pańskim 1845, Passini namalował jedną z sal kawiarni, i grupę w niej gości, na obrazie znaleźli się przy jednym stoliku: Lehmann, Mateucci, Wieder, Mayer, Riedel, Pollak, Catel. Teraz obraz wisi w Kunst Halle Hamburga, a do kawiarni przychodzi publiczność raczej do tej z malowidła Passiniego niepodobna.

Wśród zbiorów biblioteki króla Wiktora Emanuela, znajduje się sztych z XII wieku, dający wyobrażenie o ówczesnem życiu kawiarni. Widzimy muzykanta z gitarą obok jakiegoś wielmoży obsługiwanego przez samego właściciela El Greco. Obecny właściciel nie obsługuje osobiście nikogo. Drobny, piękny starzec, o długiej, pięknej brodzie, pokazuje czasem to i owo: jakiś obraz czy medaljon. Czasy znudzonych wielmożów i nadwornych muzyków minęły dla El Greco chyba bezpowrotnie. Dzisiejsza publiczność kawiarni nie jest zbyt ciekawa. Gros ludzi odwiedzających El Greco stanowią żołnierze aljanccy wszystkich stopni. Piją czekoladę lub vermouth i wychodzą przespacerowując się na pożegnanie obojętnem spojrzeniem po obrazach, rzeźbach i rysunkach porozwieszanych na ścianach kawiarni. Jest wojna, i trudno się wzruszać zaciemnionemi ogromem lat rysunkami i minjaturami. Mały odsetek innych bywalców stanowią tubylcy: artystyczna młodzież i uporczywie długo żyjący starcy. Młódź grucha po ciemnych kątach, starzy prowadzą długie rozhowory na wszystkie możliwe tematy. Na ostatnią grupkę składają się tacy różni zamyśleni, zagubieni, bezdomni żołnierze i cywile, których wojna wygania po każdej wojnie z własnych ojczyzn. Ci szukają w El Greco śladów wielkich ludzi swojego narodu, ci właśnie, proszą brodatego właściciela o książki pamiątkowe i zbiory wycinków z prasy całego świata. Polacy szukają Mickiewicza i Norwida, biali Rosjanie Gogola, Jugosłowianie zachłystują się widokiem tropów jakichś swoich malarzy i poetów.

Do El Greco nie przychodzi publiczność szukająca wody i dziewcząt. Niema tutaj muzyki ani kobiet na sprzedaż. Biedny vermouth na kieliszki i zawsze zimnawa czekolada, nie jest atrakcją dla rozhukanego aljanckiego morza, płynącego dniem i nocą głównemi arterjami Rzymu.

W El Greco jest cicho i półmrocznie. Dzięki temu, można spokojnie usiąść, pomyśleć, poszukać w książkach, pomrużyć oczy przed medaljonami na ścianach.

Przed wejściem do pierwszej sali kawiarni, wiszą dwa portrety Mickiewicza. Na jednym znajdujemy napisy: "A Monsieur Comte Alexandre Branicki Et Comtesse Anna Braniska nee Comtesse Holynska". Państwo Braniccy ofiarowali portret Mickiewicza właścicielowi kawiarni Federico Gubinellemu, trzeciego lutego 1848 roku. W ramce vis a vis, wśród różnych sław, które w tym roku odwiedziły kawiarnię, znajdujemy jeszcze raz podobiznę Mickiewicza. Pod spodem czernieją dwie strofy z Ody do Młodości. Na obu portretach Mickiewicz jest bardzo smutny w swojej czamarze. Patrzy w niewidzialny horyzont. Smutniejemy patrząc na niego i my. Wiatr dawno zamiótł ślady po Mickiewiczu. Ale były przecież kiedyś dni kiedy wielki Adam stąpał po Rzymie ciemną jesienią. — Dziś, temi samemi drogami, ku ciemnemu horyzontowi idziemy my. Jeśli od najmłodszych lat, Mickiewicz był zawsze dla mnie tragiczny, to najbardziej może mocno, odczułem życiową jego bezdomność właśnie w tej rzymskiej kawiarni.

W jednej z ksiąg do wpisywania się znajdujemy notatkę prof. Konrada Górskiego o Norwidzie. Górski pisze że poeta recytował swoje Czarne i Białe Kwiaty między innemi w El Greco. W tych książkach znajdujemy wszystkie języki świata. Od chińskiego począwszy. Notatki, jak zwykle w takich książkach, bardzo różne. Każdy pisał jak umiał. Obok wynurzenia jakiejś Polki, która — jak pisze — wracając z kuracji odtłuszczającej, wstąpiła do El Greco "aby pooddychać wielkością" (aby nie przybyło jej od tej wielkości znowu na wadze pomyślałem) widzimy tramtadrackie wykrzyki hitlerowców i żałosne skargi Ukraińców, kończące się przeważnie westchnieniem do prawdziwej wolności.

Karol Marx w korespondencji do jakiejś rosyjskiej przedwojennej gazety, robi słuszną uwagę że po przejrzeniu różnych ksiąg w kawiarni doszedł do wniosku, że on sam, jakby siebie wysoko nie cenił, myśli że człowiekiem na miarę wynajdujących proch nie zostanie.

Jest długa lista nazwisk wielkości które odwiedziły kawiarnię w różnych epokach. Reklamowa ulotka dzisiejszego właściciela El Greco podaje te nazwiska w następującej kolejności: Leopardi, Canova, Goldoni, Carducci, D'Annunzio, Michetti, Pascarella, Coleman, Byron, Shelley, Goethe, Keats, Thorwaldsen, Mark Twain, Gogol, Wagner, Re Luigi di Baviera, Stendhal, Gounod, Berlioz, Corot, Bizet, Anatole France Thackeray.

TYGODNIK POLSKI
is
PUBLISHED WEEKLY
by
TYGODNIK POLSKI
at
806 Lexington Avenue
New York 21, N. Y.
Tel. Regent 7-4168

Editor:
Jan Lechoń

Subscription:
Monthly 60 cents
Half yearly $3.50 Yearly $7.00

"Entered as second-class matter April 27, 1944 at the post office at New York 1, New York, under the Act of March 3, 1879"

Gdyby urządzić wieczór muzyki i literatury i wyjąć z dzieł każdego nie mal z tych ludzi po jednym utworze, mielibyśmy wspaniałą ucztę.

Taka była i jest kawiarnia El Greco. Z Polaków w księgach i pamięci gospodarza, znajdujemy po za Mickiewiczem i Norwidem, malarza Wygrzywalskiego i kilku innych pomniejszych pisarzy, uczonych, malarzy. Tysiące zapisków polskich w księgach El Greco położyli zwykli ludzie dobrzy i źli, mądrzy i głupi, skromni i śmiesznie napuszeni.

Ale po prześlęczeniu nad tem wszystkiem, stwierdzamy, że większość Polaków stanowili ludzie bezdomni. Najstarszych ksiąg stary brodacz nie dał mi do przejrzenia. W nowszych aż do ostatnich roi się od tych którzy zbiegli z Polski po roku 1905. Potem, masę papieru zapisali ułani i strzelcy polscy z lat ubiegłej wielkiej wojny. Teraz piszą ludzie II Korpusu i cywilni uchodźcy.

Wzruszające są słowa jakichś dwu Polaków którzy 23 września ub. roku, napisali że czekają na Aljantów i wierzą, że dni Niemców w Rzymie są policzone. Doczekali się, wiara przenosi góry.

Ludzie należący do narodów podbitych i ciemiężonych, najczęściej piszą o wolności. Włosi ostatnich dziesięcioleci dużo rysują i uprawiają poezje. Niemcy cytują Hitlera i Goethego, Rosjanie (biali) mgliście marzą o wolności. Anglosasi są skromni i wpisują zaledwie nazwiska. Francuzi — dyskretni i dowcipni.

Dużo się dziś mówi wśród inteligenckiej młodzieży polskiej na emigracji o poezji żołnierskiej. W marcu 1929 roku Włoch Dante Manetti napisał w kawiarni El Greco do Popolo — zdaje się — di Roma artykuł o Mickiewiczu. Tytuł artykułu brzmi: "Adam Mickiewicz—poeta żołnierz". Nikt o ile wiem z Polaków nie zdecydował się na taki tytuł. Zrobił to przed piętnastu laty Włoch. Manetti na długo przed Churchillem doszedł do wniosku że Polacy są przede wszystkiem narodem żołnierzy. Wspaniałych i uczciwych żołnierzy; żołnierzy którzy gdy trzeba zawieszają wszystkie swoje niewojenne miłości i idą się bić.

Od krwi polskiej wylanej w ciągu pięciu lat po całym świecie, Mickiewicza dzieli wiele czasu. Ale nie dzieli go od nas ważniejsze od krwi — miłość do prawdziwej wolności.

Kawiarnia artystów całego świata El Greco, wyrosła dla Polaków we Włoszech jak kamień na trudnej drodze. Po drodze tej idą od wielu lat ludzie naszego narodu. Idą zawsze w jednym, niezmiennym celu. I dlatego El Greco kawiarnia Adama Mickiewicza taka dla nas jest bliska i taka piękna.



Adam Mickiewicz (rzeźba Henryka Kuny)

TADEUSZ ZAJĄCZKOWSKI

MISS ZOSIA Z CHICAGO

Miss Zosię z Chicago poznałem na ulicy w Rzymie. A raczej to ona mnie poznała. Ja siedziałem w samochodzie oczekując na kolegę, który wszedł do sklepu, kiedy ona — różowa i jasnowłosa, w mundurze amerykańskiego porucznika — podeszła do wozu, pytając, czy jestem Polakiem. Potem oświadczyła, że już od paru tygodni szuka Polaków w Rzymie, że nie spotkała dotychczas żadnego i że wobec tego muszę zaprowadzić ją do polskiego klubu.

Mówiła to z taką energją i stanowczością i miała przy tym takie niebieskie oczy, że nie pozostawało mi nic innego, jak natychmiast zgodzić się na jej żądania.

Wysiadłem więc z wozu i oświadczyłem miłej panience, że jestem do jej dyspozycji. Okazało się, że narazie trzeba towarzyszyć w wędrówce po sklepach w poszukiwaniu sovenir'ów dla znajomych z Chicago, ale że najważniejszych pamiątek mam dostarczyć ja: polskich książek i wogóle wszystkiego, co mogłoby świadczyć o tem, że panna Zosia spotkała we Włoszech polskich żołnierzy. Bo to — (mówiła swoją egzotyczną, o angielskim wydźwięku polszczyzną, używając czasami jakiegoś archaicznego, dawno już zagubionego w gwarze współczesnej, słowa) — co przypomina Polskę jest najmilszym souvenir'em. Po drodze opowiedziała mi wszystko o sobie. O tem, że rodzice wyemigrowali z okolic Rzeszowa zaraz po poprzedniej wojnie i że ona urodziła się już w Stanach. Kazała mi opowiadać o Rzeszowie, jak tam jest, jak wygląda.

A kiedy mówiłem jej o dalekich płaszczyznach pól, o zapachu kwitnącego zboża, o makach i bławatach w złotogłowiu owsów i jęczmieni, o gruszach, które niby zielone kapliczki stoją pod bladą kopułą nieba, panna Zosia coraz przerywała mi okrzykiem: "o tak! to prawda! matka mi tak mówiła".

Potem znów ona opowiadała mi o swojem życiu w Chicago, o polskiej szkole, do której chodziła parę lat, o matce i o sąsiadkach, o tem że bardzoby chciała Polskę zobaczyć, tylko że nie wiadomo, jak to teraz będzie. Mówiła, że Rosja jest potężna, że musimy z nią żyć w zgodzie, pytała, patrząc z niepokojem mi w oczy, co Polacy teraz zrobią?

Starałem się jak mogłem w najspokojniejszych słowach powiedzieć jej jak to jest, wyjaśnić, że nikt bardziej od nas nie pragnie zgody, że za prawo do spokojnego życia płacimy bardzo drogo krwią, od lat wsiąkającą we wszystkie pola bitew tej wojny, że gotowi jestemy płacić tą cenę do ostatniej kropli, do ostatniego człowieka. Ale, że jest cena, na którą żaden chłop polski się nie zgodzi: to właśnie te grusze, te owsy, te piachy mazowieckie, te błota poleskie, ta ziemia, z której wyrośliśmy, w której legniemy i której nie oddamy nigdy i za nic.

"Tak" — powiedziała Miss Zosia— "to prawda, matka mi też tak mówiła. I wierzę że wam się uda. Wy, Polacy, wy są twarde chłopy. Je wiem, że zawsze zrobię to co chcę. Bo ja jestem też twarda: z waszej, polskiej krwi..."

Wieczorem poszliśmy do polskiego klubu, bo Miss Zosia koniecznie chciała tańczyć z polskimi żołnierzami i napisać o tem do Chicago.

"A jak pani pisuje do domu" — zapytałem — "czy po polsku?"

Zosia spojrzała na mnie ze zdziwieniem: "Naturalnie" — odpowiedziała — "jakże inaczej? w domu z rodzicami zawsze rozmawiamy po polsku?"

W kilka dni potem spotkałem w polskiej księgarniź którą niedawno otworzyło w Rzymie wojsko, Franka z Newark.

Kupił wszystko, co tam można było dostać, i bardzo się ucieszył, znalazłszy słownik polsko-angielski.

"Bardzo już zapomniałem po polsku" — mówił uśmiechając się trochę zażenowany i trochę wzruszony — "chodziłem do szkoły publicznej, wieczorami tylko biegałem na polskie do Sokoła, niewiele umiałem... A potem poszedłem do pracy między Amerykanów, zapomniało się i to. Ale do rodziców nie mogę pisać inaczej niż po polsku. Matka nie czyta po angielsku, no to nie mogę przecież staruszce robić przykrości..."

Poszedł z paczką książek polskich, ażeby je zaraz wysłać do Ameryki, do swoich "starych".

I w Neapolu, i w Rzymie, na drogach i pobojowiskach spotykałem wielu tych Amerykanów polskiego pochodzenia. Niektórzy z nich mówili zupełnie poprawnie po polsku, niektórzy pamiętali zaledwie kilka słów.

Ale ze wszystkich rozmów z nimi wynikało zawsze jedno: że tam, za oceanem, żyje pokolenie "starych", pokolenie emigrantów z pod Rzeszowa z pod Ostrołęki i Tarnopola, które wywiozło ze sobą do nowego kraju razem z obrazkami Częstochowskiej i Ostrobramskiej także na wieki wyryty w duszy obraz zbóż kłosem szumiących, grusz na miedzach rozsiadłych, białych chat i sadów zielonych. To pokolenie wywiozło również ze starego kraju pewien obyczaj, pewne zasady i uczucia, które potem wpoiło w dusze swych dzieci, już na amerykańskiej ziemi zrodzonych. Starzy zachowali w sobie i przekazali młodym obraz ziemi polskiej, dalekiego kraju marzeń, uczucia i tęsknoty.

Dlatego myślę, że nikt nie rozumie tak dobrze nas, żołnierzy polskich, jak właśnie dalecy rodacy w Stanach.

Oddzieleni głębokiemi wodami oceanu, rzuceni w różne części świata, zrzadka tylko otrzymujemy wieści o sobie. Do Was docierają (wiemy o tym dobrze) spóźnione i skąpe wiadomości o naszych walkach i bojach, my też nie często dowiadujemy się o tem, co Wy robicie.

Ale kiedy żołnierz 2go Polskiego Korpusu czyta słowa takie, jak uchwały Kongresu Polonji, to wtedy wie jedno napewno: że tam, w Ameryce, biją miljony takich samych serc prostych i uczciwych, jak jego.

W POPRZEDNIM 43 (95) NUMERZE "TYGODNIKA POLSKIEGO"

Sąd kraju; Jan Lechoń: Poezja Warszawy; Artur Międzyrzecki: Słowo gniewne; "Warszawianka" Wyspiańskiego w Polskim Teatrze Artystów; Loret C. Hawkins: The Forgotten Battlefield; Zygmunt Stojowski: W Szopenowską rocznicę; Jan Lechoń: Wieczór wielkiej poezji; Scrutator: Polska w książkach angielskich; opinje i Zdarzenia.



ZYGMUNT MENKES GHETTO WARSZAWSKIE WALCZY

ANTONI SŁONIMSKI

TO WARSAW

(Translated by Zuzanna Wieniawa Długoszowska)

He died for us just once, and we call Him Lord,
And two million Cities fast and mourn His loss.
The Cities will not speak when the pagan horde
For the third tragic time leads you to the cross.

Once was He crucified for our faith and creed,
Yet from every church-tower His crosses shinne still,
But now for the third time you must swoon and bleed,
Crucified among thieves by men of good will.

Once was His agony mocked by godless men
And once His robe was staked in a game of dice,
Peter has denied you again and again
And Pontius Pilate washed his righteous hands thrice.

Moss will cover your ruins and roses will spring
From that moss, fertilized by blood and by tears,
Your memory will live as long as men sing,
And songs speak of justice... and somebody hears.

WITOLD SZYFER

OPOWIEŚĆ NOCY ZIMOWEJ

Listopad zawsze dla Warszawy
jest porą rzewnej melankolji:
jesiennych liści kolor rdzawy,
wilgotny zapach szarych ulic...
Dzień mglisty wlecze się powoli,
jak żebrak się pod bramą kuli
i wsiąka w noc niedostrzegalnie
ubogi, szary dzień warszawski...
I tylko tam, na Solcu, blaski
pożaru krzykną krwawą łuną
że smutków dość! — że czas do broni!..

Lecz wnet kozacki galop koni
zagłuszy krzyk.
Dni szare suną
jeden za drugim, jak w szeregu
sołdackich burych rząd szyneli...

Nic nas nie łączy, wszystko dzieli,
każdy na innym stoi brzegu,
każdy o inną woła rację...
Przyprószą mroźne śniegi ziemię,
zasypie zamieć tych co strzegą
styczniowych ognisk w lesie. Drzemią
pod pniem sosnowym zmarzłe trupy,
wiatr w szczytach sosen hula, śpiewa
że wyrastają polskie drzewa
na nowe szubieniczne słupy.

II

Daleka bardzo droga do białych atolli
z równiny nadbużańskiej przez Wołogdy śniegi.
Jak niskie semafory stanęły szeregi.
krzyży na polskiej drodze, drodze melancholji.
Odjechać — jakże trudno. Zostać — niepodobna!
A wiatr łopocze w żaglach, morze woła dalą...
Cichutko gra Szopena noc, wdowa żałobna,
i nad otwartą trumną gromnice się palą.
A może być inaczej: deszcz majowy pada,
leszczyna się zieleni, szczęście śmiechem dzwoni —
i Gustaw się przemienia w Józefa Conrada,
ażeby iść z żywymi za słońcem w pogoni.
Ach, nie wiem czy to słońce, czy to księżyc blady,
czy maj to, czy listopad — dziś to wszystko za nic:
skrwawiony bruk warszawski znów na barykady
rzucony ręką Boga jak kamień na szaniec.
I jeszcze raz i jeszcze — spójrz: nad światem łuna
i krew już nie na bruku — na szarym mundurze!
i serce drży radośnie, jak napięta struna,
i Orły, białe Orły, na sztandarach w górze!



POMNIK KSIĘCIA JÓZEFA W WARSZAWIE

I znowu cała Polska durzy się piosenką:
szumią wierzby płaczące, werbują ułani,
jedzie Wódz na kasztance, wojenko, wojenko —
idzie głos borem - lasem — cóżeś ty za pani...
Idzie głos borem-lasem, ściele się po rosie,
rosa łąki wybiela, już kosiarze idą,
mgiełka lekka jak welon zwolna się unosi
nad Pilicą nad Niemnem, nad Wisłą, nad Nidą...
Słońce wschodzi nad krajem chłopskim, mazowieckim,
ubogim moim krajem pól i łąk zielonych —
oczyma jezior ziemia, jak oczyma dziecka,
patrzy w niebo i czeka — ziemia niestrudzona...
Czeka ziemia. Nad Nidą zieleni się wzgórze,
kosy brzęczą na łąkach...
Zmierzch pachnie udojem...
Znowu zwiewne mazurki brzmią na klawiaturze
fortepianu liljowe bzy marzeniem poją...
Ta miękkość, zmierzch liljowy, bzy, echa, marzenia
jako nóż wbity w serce, pokryty krwią rdzawą,
wyrywa z bladej piersi błyski przerażenia
i senną mgłą o świcie spada na Warszawę.

III

Nad Warszawą mgła.
Szara, senna, wiślana.
Kłębami pełznie w ulice. Domy się chwieją w mgle.
Liście pożółkłe spadają
na wilgotne zwiędłe badyle,
mgła wiślana,
mgła senna,
mgła szara.
Nad Warszawą listopad się chwieje.
Domy się chwieją we mgle.
Krzywy, koślawy listopad.
Na Krzywem Kole latarnie
gazowym płomieniem się dławią,
błąka się cisza skulona,
bojaźliwa, samotna we mgle...

WŁADYSŁAW GIEYSZTOR

TRAGEDJA EMIGRACJI

(Z NIEWYKOŃCZONEJ KSIĄŻKI P. T. "ROZBITKI")

Jakiekolwiek są pobudki emigracji do obcego kraju i jakiekolwiek jest usposobienie tych, co decydują się na tę wielką zmianę — dla każdego emigranta osiedlenie się na obczyźnie jest wstrząsem, a często nieuleczalną tragedją. Jedni wybierają ten ciężki los świadomie, drudzy nie zdają sobie sprawy z tego, co ich czeka. Często w Starym Kraju pozostawiają biedę, ciemnotę, niewolę, a na nowem miejscu dochodzą do dostatków — a jednak muszą przytem rwać jakieś niewidoczne więzy i nawet po długich latach nowego życia coraz to zaboli coś w głębi duszy, gdy nieoczekiwany widok, zapach czy melodja przyniosą skądś zdaleka zapomniane tęsknoty. Czas oczywiście robi swoje. Dawne rzeczy zacierają się w oddali, a z nowych przyzwyczajeń i ze wspomnień niedawnych radości wyrasta nowy świat, powstają nowe ukochania. Uparta kiedyś myśl powrotu do rzeczy zamłodu porzuconych dawno już odeszła, boby raz jeszcze trzeba było coś rwać i łamać. Ludzie już bezpowrotnie należą do nowych miejsc. Ale oto przecież znowu i znowu idą jakieś fale powrotne, ni stąd ni zowąd pojawiają się te same co kiedyś tęsknoty, zdawałoby się dawno zabite. Tęsknoty za czem? Może zwyczajnie za młodością, która nie powróci; a może jednak jest to żal, że kiedyś dawno los nie dał pójść drogą spokojną, przez znane swojskie łąki kwieciste, pomiędzy łanami przez siebie uprawionych zbóż, a zmusił do gwałtownego skręcenia na nieznajome kamieniste i wyboiste drogi. Droga doprowadziła w końcu do niezgorszego życia, ale jakżeż miejscami była męcząca!

Do Ameryki emigrant polski uciekał przed biedą, ale często także przed wyzyskiem i poniewierką. A ileż to razy na nowem miejscu znowuż znajdował wyzysk i poniewierkę, przed czem w dodatku nie bardzo umiał się bronić, bo nie znał stosunków ani języka. Gdy wreszcie otarł się o ludzi, poduczył się czegoś — to dowiadywał się, że jest "hunk", t. j. obywatelem drugiej klasy. Zamykał się wobec tego w swojem ghetto. Tak często emigracji polskiej stawiany jest zarzut, że trzyma się ghetta, ale nie każdy wie, jak trudno stąd wydostać się, jeżeli się przytem nie chce zarzucić polskości.

Emigrant w końcu osiadł na dobre, założył rodzinę, dochował się dzieci. Mały Stasiek, Franek, Zośka — nie wiedzą jeszcze nic o życiu. Są tylko polskiemi dziećmi: szczebiocą po polsku, nauczyły się polskiego pacierza. Rodzice zapominają o obczyznie, gdy patrzą na płowe polskie główki swoich maleństw.

Ale oto dzieci rosną, wychodzą poza dom: na ulicę, do szkoły. Otworzył się przed nimi nowy świat, którego są ciekawi. Rodzice nie bronią im tych nowości, bo poprostu nie mogą zabronić im tego, a zresztą nie chcą dla swoich dzieci losu, który im samym przypadł w udziale: niech będą pełnoprawnymi obywatelami kraju, w którym mają żyć. Emigranci polscy dbają o lepszy los dla swoich dzieci.

I oto z polskich dzieci wyrasta amerykańska młodzież. Są tacy, jak inni ich rówieśnicy. W polskim domu żyją już teraz obok siebie dwa światy: polski i amerykański. Młodzi przeważnie już nie rozumieją starokrajskich rodziców, ani ich umiłowań, ani nawet dobrze ich mowy. Starsi także nie bardzo wiedzą, jak mówić do dzieci. Wymknęli się im z rąk. Powstaje nieunikniony rozdźwięk, który jest czemś więcej niż rozdźwiękiem pokoleń. A gdy tylko po jednej lub drugiej stronie brak wyrozumiałości, albo gdy charaktery są trudniejsze — kończy się życie rodzinne. Młodzi nie mają domu, a starsi nie mają dzieci. W tym właśnie okresie na starych emigrantów najczęściej nachodzą tęsknoty za czemś utraconem. Wojciechy i Macieje zaczynają zdawać sobie sprawę, że wyhodowali Stanleyów i Chesterów. Przy końcu życia nie znaleźli należnej zapłaty za swoje trudy.

Ale bywa też inaczej. Czasem w domu polskim w Ameryce dziecko zapatrzy się na rodziców i przejmie ich romantyczne nawyki. Z takiego dziecka wyrasta zabity Polak, człowiek nieuleczalnie chory na kompleks polskości, bo jego atawistyczne przywiązanine do Polski zostało spotęgowane przez świeżość i bezpośredniość temperamentu amerykańskiego. Ten typ amrykańskigo Polaka jest niesłychanie wartościowy. Spotyka się go i wśród mężczyzn i zwłaszcza wśród kobiet, chociaż nie jest ich wielu. Ich uczucia i przeżycia są dalszym ciągiem tragedji ich rodziców-emigrantów. Tęsknią do czegoś, czego nie mają, a wśród Amerykanów czują się obco, pomimo, że sami są zrodzeni w Ameryce.

Tak właśnie musiało być z Kasią Korsakówną. Dowgird był tego pewien po rozmowie poprzedniego wieczora, ale wielu rzeczy nie mógł w niej jeszcze zrozumieć.

— "Chcę koniecznie wszystko o pani wiedzieć" — mówił gdy znaleźli się sami w restauracji. — "Już wczoraj dostrzegłem w pani wiele niespodzianek i zagadek. Będę więc pytał o różne rzeczy: — i niech panią nie zrażą niektóre moje pytania".

— "Dlaczego miałabym być urażona?" — zdziwiła się Kasia.

— "Bo będę niedyskretny. Ot odrazu: ile pani ma lat?"

— "Dwadzieścia siedem. To nie żadna tajemnica".

— "Dalsze pytanie: Dlaczego pani dotąd nie wyszła zamąż?"

Kasia chwilę zastanawiała się:

— "Bo w mojem życiu nie spotykam mężczyzn, którzy mnie interesują" — odpowiedziała.

— "Nie spotykam i — nie wiem doprawdy czy wogóle mogę spotkać".

Kazimierz poruszył się:

— "To niesłychanie ciekawe, co pani mówi. Dlaczego?"

Kasia potrząsnęła główką, odrzuciła loki z czoła i uśmiechnęła się.

— "Pan dotknął bardzo osobistego problemu mego życia" — powiedziała. — "Odpowiem jednak na pana pytanie, bo..." — tu zawahała się — "bo nie wiem dlaczego, ale chcą z panem mówić o tych moich nieważnych sprawach. I nawet wiedziałam, że pan o to zapyta" — dodała z zalotnym uśmiechem.

— "Widzi pan" — mówiła miękkim przyjemnym głosem. — "Mnie nie interesują młodzi mężczyźni, których spotykam tu w Pittsburgu — ani Polonja, ani Amerykanie. Ja żyję w moim własnym polskim świecie. Amerykanie polskiego pochodzenia — mam na myśli moich rówieśników — mało interesują się tym moim światem. Mam parę przyjaciółek, które czują podobnie jak ja. Mam przedewszystkiem siostrę, która jest taka sama — choć niezupełnie. Ale wśród mężczyzn dotąd nie spotkałam takich. Zresztą nie — spotkałam paru, ale ci właśnie nie byli interesujący jako mężczyźni".

Kasia nie wiadomo dlaczego zarumieniła się, a potem zaczerwieniła się jeszcze mocniej, bo była zła za ten pierwszy smarkaczowski rumieniec.

Kazimierz przyłapał ją na speszeniu się i nie ukrył tego.

— "Bardzo pani ładna w tej chwili" — powiedział z przekonaniem.

Kasia udała, że gniewa się:

— "Niech pan nie przygląda się mnie, a słucha".

— "Słucham z największem zainteresowaniem".

— "Co mam zresztą mówić panu o Polakach amerykańskich. Pan sam wie, że my mamy mało inteligencji, a nie wszyscy którzy pokończyli uniwersytety mogą być zaliczeni do inteligencji".

— "A Amerykanie?"

— "Amerykanie? Dobrze, że mój ojciec pana nie słyszy. On nigdy nie zgodziłby się na to. Zresztą ja sama nie potrafiłabym tego zrobić. Czyż ja mogłabym być szczęśliwa, gdyby mój mąż nie potrafił razem ze mną cieszyć się Polską, czy też martwić się o Polskę?"

— "Nigdy żaden Amerykanin nie starał się o panią?"

— "To pan pewnie myśli, że mnie nikt już nie zechce?" — zawołała Kasia ze śmiechem. — "Owszem byli tacy, ale popędziłam".

— "I co będzie dalej?"

Kasia znowu potrząsnęła główką.

— "Nie myślę w tej chwili o tem. Teraz wojna. Przed samą wojną miałam jechać do Polski. Na dłużej. I tak zostało".

Zamyśliła się. Kazimierz patrzał na nią uważnie. Odkrywał w dziewczynie coraz to nowe rzeczy, a równocześnie wyrastały przed nim dalsze zagadki. W Polsce dwudziestosiedmioletnia panna, nie mająca żadnych planów małżeńskich, uważałaby siebie za nieszczęśliwą, byłaby często zmanierowana, zhisteryzowana. Kasia nie miała w sobie cienia histerji. Była równa, spokojna. Czyż istotnie tak mało wymagała dla siebie od życia? Nie zdaje się być bierna. Instynktem doświadczonego mężczyzny Kazimierz wyczuwał w Kasi kobietę pełnowartościową, zdolną do uniesień i do słabostek kobiecych. A przytem taka ładna! I oto żyje w swoim małym zaścianku, pozwala młodym latom uciekać, nie szuka przeżyć, nie kocha.

Kazimierz poprosił Kasię, żeby mu więcej opowiedziała o sobie. Dziewczyna rada była zaproszeniu. W prosty szczery sposób opowiedziała całe swoje życie, zresztą bardzo nieskomplikowane. We wspomnieniach Kasi najwięcej było cichych wieczorów w domu kochających rodziców, długich rozmów o Starym Kraju. Wyrosła wśród tęsknych opowieści o cichej spokojnej Litwie, tak ciągle słyszała o starych lipach przed spowitym w wino domkiem i o skowronkach, rozśpiewanych nad pachnącą ziemią — że chyba musiała kiedyś widzieć te lipy, słyszeć skowronka i czuć zapachy polskiej ziemi. A następnie pojawiły się książki polskie i zawładnęły ostatecznie sercem Kasi. Jakżeż bezmyślne wydawały się jej potem rozmówki koleżanek ze szkoły! Nie znalazła już nigdy wspólnego języka z niemi — ani gdy dorastała, ani gdy dorosła.

— "A zabawy, a radości młodego wieku?" — pytał Kazimierz.

O tak! Kasia lubi bawić się i śmiać. Przepada za tańcem, z pasją uprawia sporty: pływa, gra w tennisa, w koszykówkę. Strasznie lubi podróżować.

— "A miłość, a flirty?"

I tu Kasia niema zbyt wiele do ukrywania. Był tam jakiś zdaniem Kasi niedozwolony flirt z kolegą z college, było parę zbyt szumnych zabaw — i to wszystko.

— "Były także tęsknoty" — dodała w zamyśleniu.

WITOLD LEITGEBER

ANXIETY OF OUR TIME

No one can possibly observe the events of the past few years and not come to a pessimistic conclusion of a better, a happier world in the future. Discouragement, lack of faith and depression weigh upon the minds.

The latest political events seem but to confirm this morbid reality.

Moral dogma and convictions change from day to day. Ideas which only yesterday were held as essential are discarded or proclaimed as void. And vice versa. Confusion dwells in the minds. The backbone, expected to hold the body in the right position, has it seems, been struck with rachitis. Or is there no backbone left? Surely, European civilisation is in the grip of some fatal derangement. Preventive measures are eminntly esssential.

The source of the desease is, I am sure, the fact that Euope and its civilisation is in the grip of some fatal derangement. Preventive measures are eminently essential.

The source of the desease is, I am sure, the fact that Europe and its civilisation have departed from their fundamental principles both in private and in political life, in interstate relationship and in international relations between nations.

Europe's civilisation, built up on Greek and Roman cultural inheritance, founded upon Christian faith and Christian ethics, derived its consciousness of law, order and equality of all men before God, from transcendent values of the human immortal soul.

The tree firmly grounded on these principles grew during the centuries. With ramifications, ts roots reached far and wide into human life. New institutions, new customs, sprang from it, and it embraced them all.

Meanwhile, parallel in its growth, another world grew up, — a world governed by laws and ethics opposed to ours and in diect contradiction to everything held by us as the cornerstones of our civilisation. In this other world man was not equal to man. Brute force dominated law.

This barbaric world had in the past been a menace from without, but Europe so far, stood her ground and kept it at bay though such spiritual agents as Saint Genevieve, Charles Martel, Jan Sobieski.

As the yars went by, Europe began to be menaced from within. Individuals, groups, nations, which had remained fundamentally indifferent to European civisation, set to work in its midst to build an allien world of new notions or to distort prevailing European ideas. This new barbaric world was often Godless, or, one man was worshipped as a living god. Built on materialistic values exclusively, the right to live was reserved for the rich and strong. The weak and the poor were forgotten. The same outlook was applied with regard to nations. The great powers only, and the great masses were to have a deciding vote, while individuals were manned into a soulless machine. In short, the whole world was to be swung back to its former primitive state, where force was to dominate.

Europe at the same time was stricken with what could be referred

to as passive barbarism, expressed in wavering, oscilation, fatigue and lack of combative spirit. Inclination to pursue such tempting lines as personal material comforts augmented, while the principles remained unguarded against the assaults.

Confronted with barbarism from without, aggressive and passive barbarism at home, Europe began to falter and become the prey of mental and spiritual anxiety for the future. Europe having been cynical could grow anarchic.

How does reationship between nations look, viewed from this angle?

When the First World War was at its close, the post-war world was planned, — equality of men and nations, equal rights to live for everyone, justice based on Christian ethics and the rights of peoples, observance of contracted obligations.

In practice these principles, or some of them at least, were soon forgotten or discarded. The League of Nations, through which expediency a new era was to start, departed from the basic principle of equality in dividing the world into permanent and elected members, bearing the imprint of discriminations between Great Powers and Powers of "limited interests", as the smaller nations were politely termed.

The fundamental, that nation's obligations are moral law, contracted before the states came into existence and still in force, had in no way been stressed by the League of Nations. Peoples acceded to the League of Natons on false incentives. Hence, whenever "interests"' clashed with "obligations", the former came first. In fact, the Great Nations have never been conducted by the Covenant of the League of Nations.

As early as 1923, Mussolini ordered bombardment of the Greek island of Corfu. This opened a series of cases wherein law was violated.

Tehn came a period of test which was to prove whether or not the League of Nations had any real significance. It proved negative.

In 1925 the Emperor of Abyssinis beseeched the civilised world for help:

"Can't the peoples raalise that in fighting till the last breath is left in my body, I am not fulfilling the sacred duty towards my own people only, I am also defending the strong-hold of collective security. Are all nations blind to the fact that I am discharging my duty with egard of the humanity as a whole? I must and I will hold on until my tardy allies appear. If he does not, I say prophetically and without bitternes, the West will perish.'"

The appeal went unheeded. Passive barbarism was rotting Europe's civilisation. It was a period when principles were ignored and obligations remained unfulfilled.

Europe was dreading a war, — a Just War. The celebrated "appeasement" was the answer the effeminated world offered against aggresive barbarism.

Armed opposition suggested by Poland in 1933 and again in 1936 aganst those who broke the principles, had been rejected by the Western Powers which had lost its instinct of discernment and prevision. Incredulity was felt in talks and pledges. Great ideas had been be--trayed. Thee was nothing to believe in and little to hope for.

Case followed case: Rhineland, Austria, Munich, Cechoslovakia, Albania. Convinced that force alone counted in the world, more and more people joined the camp of aggressive barbarism.

Then came the fatal day — the 1st of September, 1939, when the two worlds clashed. One, represented by those who thought it right that the weaker be dominated by the stronger and by the one that had material power; the other, representing spiritual values worth dying for, not worth living without.

Poland's entry into the war was at first abstruse to many. But what was aid to be folly and eferred to as "romantisism", was in reality a revolt of the European spiritual civilisation against barbarism and materialism.

This "outcry of resolution" giving impetus to the Allied Cause in the present war and to which so many nations acceded, motivated afterwards by various arguments and reasonings, assumed the chaacter of a sacred war for Christian Europe. It was rightly said that the stand the world would take towards Poland would be a test to what measure the present fight was one for justice. Should barbarism triumph, so the spiritual values of European civilisation calling for heroism and sacrifice, would be subjugated to violence and opportunism. Should this be, the stupendous world war effort would be futile. Thus, this was cannot close on compromise. It must be one way or the other: to fight for or to fight **against the immortal ideas of civilised** Europe.

The Second World War is not only an international conflict between the respective countries. It is a clash between two worlds. Out of this struggle, the basic fundamentals of pastwar life in Europe will have to emerge. The path leading to a better future must first lead back to the foundations of our civilisation. Then only can further progress of life be built up in natural sequence: God, and only then — man, family, nation, state, commonwealth of all nations.

Every one man has a right to life, to liberty, to found a family, to own property. Likewise, every nation has a right to life, to be free, to be governed according to national customs and to maintain an independent economic existence.

These old principles should be made new. They may seen banal. They may be largely contested. But if we are to have a lasting peace in the future, they must be realised in an atmosphere of sincerity, of justice and love.

This is the spirit youth must be educated in after the war. In the grip of profound anxiety for youth's future and for the future of the world, more and more appeals are being sounded throughout Europe,— appeals to call upon a new fraternity of men who would lead the nations into a rennaissance of relationships and to inspire them with a new faith.

"HERRENvOLKU"?

Artur Rubinstein na cześć Polski

Pierwszy w tym sezonie nowojorski koncert Artura Rubinsteina, — recital szopenowski był tym razem nietylko artystycznym wydarzeniem, na które cały Nowy Jork zawsze z niecierpliwością czeka. Wielki artysta, nietylko największy pianista polski, ale, jak dziś to coraz powszechniej jest uznawane, największy pianista naszego czasu postanowił pod wstrząsem tragedji Warszawy, wypowiedzieć, tak jak to kiedyś czynił Paderewski, własne swoje uczucia, przez wykonanie utworów Chopina, powstałych z tych samych tęsknot i uczuć, z tego samego gorącego odczucia polskości, które nas dzisiaj wypełnia; postanowił w tej właśnie chwili powiedzieć publiczności nowojorskiej prawdę o Polsce najgłębszą, najprawdziwszą i wieczystą, nie prawdę propagandzistów i politycznych macherów ale prawdę duszy polskiej i polskiego genjuszu. Nie było napewno w niedzielę w Carnegie Hall nikogo, kogo by ta prawda nie wstrząsnęła, któryby urzeczony tą muzyką boską, będącą w sztuce całego świata niedoścignionym szczytem elegancji duchowej, nie pochylił czoła nietylko poto, aby ukryć łzę wzruszenia, ale i poto także aby, oddając hołd Chopinowi, odpowiedzieć zarazem na wezwanie Artura Rubinsteina i skłonić głowę przed zaklętą w Chopinie Polską, przed nieśmiertelnemi w nim na zawsze polskim bohaterstwem i poezją.

Kiedy, odegrawszy, jak to jest w zwyczaju na początku koncertu, hymn Stanów Zjednoczonych, Artur Rubinstein podniósł się i powiedział, że zagra "ku czci Chopina" polski hymn narodowy i kiedy z pod jego palców proste i zwykłe dźwięki Mazurka Dąbrowskiego popłynęły falą takiej zadumy i tak dyskretnego uczucia, że zdały się nam jakby wstępem do Chopina, jakby już jego nutą — ogarnęło nas, wszystkich na sali Polaków, rozrzewnienie poprostu rodzinne; zdawało się, że za chwilę zaczniemy śpiewać wszyscy razem pod ten niedościgły akompanjament, aby się jak w wielkie święta połączyć w naszem nieszczęściu ale i w naszej niezłomnej polskiej ufności.

I w miarę jak wielki artysta prowadził nas przez rytmy wszystkim nam drogie, prawie nam przyrodzone na coraz wyższe szczyty owego wszechludzkiego, do którego Chopin wzniósł ludowość polską, w miarę jak przez doprawdy metapsychiczne odczucie, jedynych rytmów i akcentów Chopina przenosił nas Rubinstein w coraz idealniejsze kręgi owej Polski platońskiej obcej wszystkiemu, co przyziemne i rubaszne, a przecież stworzonej ze wszystkich kształtów i odczuć polskości — coraz dumniej odczuwać poczęliśmy, że mówiąc utartą cytatą z Wyspiańskiego "Polska to jest wielka rzecz", że jest ona odrębnością, ktorej zatrzeć nie można bez zubożenia duszy ludzkiej i kultury świata, że nie jest to tylko ziemia i ludzie i historja, ale jedność duchowa potężna i szlachetna, bez której świat nie byłby sobą, jak nie może być muzyki bez Chopina.

Artur Rubinstein instynktem wielkiego artysty wyczuł, że takich uczuć jest nam właśnie teraz potrzeba i że taką właśnie Polskę trzeba przypomnieć teraz światu i postawić ponad podłą kalumnją naszych wrogów i małą litością ludzi dobrej woli, ale przyziemnej myśli. Chopin w jego grze był to Chopin tryumfujący siłą i rozumem swej sztuki nad sentymentalnym romantyzmem, nad melancholją swego czasu, był to Chopin naprawdę norwidowski, mistrz świadomy każdego akcentu, chciałoby się powiedzieć Chopin mickiewiczowski, roztapiający wewnętrzną burzę w najmądrzejszych muzycznie akordach. I ten Chopin przypomniał nam poruszonym i wstrząśniętym i objawił obcym, nic o nas nie wiedzącym i zadziwionym — Polskę tryumfującą, Polskę która o nic nie prosi, bo jest niezbędna światu.



CHOPIN
(według rysunku George Sand)



ARTUR RUBINSTEIN

Rubinstein dał nam nietylko jeden wieczór wspaniały, wieczór głębokiej potężnej pociechy. Przypomniał nam on zarazem, odzwyczajonym przez naszą niezawsze mrówczą, ale zawsze prawie małostkową propagandę od wszelkiego wielkiego porywu i wielkiego gestu jak należy występować wobec obcych, aby nie uprzykrzać się im, ale zdobywać ich wdzięczność. Jego koncert nic nie ustąpił realnym celom z tych największych wymagań, jakie sobie Rubinstein stawia, był on wypełnieniem potrzeby duchowej artysty na jego najwyższą miarę i dlatego był propagandą Polski, z jaką Nowy Jork od czasu Paderewskiego jeszcze się nie spotkał.

Trudno mówić o wdzięczności naszej dla Rubinsteina skoro to, co uczynił tak bardzo było jego pragnieniem, potrzebą jego polskości. Ale trudno też nie wyrazić nadziei, że zwykła niedbałość tak bardzo nieraz podobna do niewdzięczności nie będzie tym razem naszą odpowiedzią na ten dar wielkiego naszego rodaka dla nas samych i dla naszej sprawy. Do naszych urzędów i organizacji polskich należy przedewszystkiem piecza nad dopełnieniem tego obowiązku wdzięczności.

Jan Lechoń.

W programie swego koncertu Artur Rubinstein pomieścił takie oto podpisane przez siebie oświadczenie:

I have no intention of analyzing tonight's program; the music of Chopin requires no explanatory notes. I wrote these few words of introduction to the concert for purely sentimental reasons.

Chopin disliked tying literary strings to his art. Unlike Debussy, who relished extravagant, often picturesque titles for his compositions, the Polish master preferred to call his piano pieces soberly Preludes, Etudes, Scherzi, Impromptus, etc. Yet in spite of these vague and sometimes contradictory descriptions (like "Scherzo", meaning "joke" in Italian), his works never fail to convey to the listener the dominating source of their inspiration — Chopin's possionate devotion to his native Poland and his grief over the tragic outcome of the revolution of 1830 which made him an exile for life. His great genius proved to be the chief power in stimulating the courage of his countrymen in their continuous fight for freedom.

Nod, almost a hundred years after his death, we Poles are living again in a time of desperate struggle for survival and Chopin's own town, Warsaw, has been utterly destroyed. For this reason his immortal music appeals to us today more strongly than ever!

Tonight's program stresses the heroic rather than the lyrical character of his works — showing that Chopin, in spite of his physical weakness, possessed a soul of titanic stature. The Polonaise in F sharp minor which opens the concert is a tragic and defiant expression of his despair and anger, a mood broken for a moment by the eerie beauty of the middle section, the Mazurka, a daydream of a peaceful and happy Poland. Shumann heard in this Polonaise the sound of "muffled cannons".

Continuing the program with the great Sonata in B minor, Op. 58, the Ballade in G minor, the dynamic Scherzo with its original theme of a Polish Christmas carol, the Etudes and Mazurka's, it seems fitting to close this concert with the Polonais in A flat, Op. 53, Chopin's proud and triumphant outcry of everlasting hope in victory.

(Signed) **Artur Rubinstein.**



Żołnierze Dywizji Maczka, która zdobyła Bredę

OPINJE I ZDARZENIA

ZDOBYCIE BREDY

Polskie wojsko znów było na pierwszem miejscu w komunikatach wojennych. Te polskie wojsko, (dywizja Maczka, którą Belgijczycy witali jako oswobodzicieli, której Regent Książe Karol wyraził imieniem Belgji specjalne podziękowanie) — zdobyło tak ważną dla posuwania się wojsk aljanckich w Holandji historyczną Bredę. Ciekawe jest, co też sobie myślą Belgijczycy i Holendrzy, którzy się dowiadują że pan Churchill karci rząd polski, iż dotychczas nie oddał jeszcze połowy polskiej ziemi i nie połączył się z agentami Sowietów. Bo co sobie myślą żołnierze polscy nie potrzebujemy mówić.

OTO PROPAGANDA

Dochodzi nas z Włoch wydawnictwo niezwykłe, będące dokumentem polskim naprawdę pocieszającym, świadczącym, że jeśli jest wiele Polaków nieuleczalnych niedołęgów i próżniaków i wiele instytucji, których jedyną pracą jest płacić pensje swym urzędnikom — wiele też jest Polaków, którzy w najtrudniejszych warunkach zawsze coś doskonale zrobią, najbardziej śmiały zamysł wykonają i że są też instytucje polskie, mogące być wzorem pomysłowości, rozmachu nietylko dla nas samych, ale i dla obcych.

Album "Monte Cassino" wydany przez Oddział Kultury i Propagandy Drugiego Korpusu a zawierający 78 heljograwiur według rysunków Zygmunta Turkiewicza, obrazujących walki tego Korpusu i sławne jego zwycięstwo — jest nietylko dokumentem historycznym niezbędnym, ale jest zarazem dokonaniem artystycznem i graficznem, jaki w pokojowych czasach byłoby chlubą każdej wielkiej i ambitnej firmy. — Poprostu dusza rośnie, gdy się myśli o naszym Drugim Korpusie, który wśród takich walk, w takich duchowych rozterkach, jakie los polski mu niesie — potrafi działać z taką szybkością, tak doskonale dla kultury polskiej i poprostu dawać twórcze zdobycze sztuce polskiej.

Niesposób nie pomyśleć, że w o ile łatwiejszych, poprostu luksusowych warunkach, rozporządzając pięknemi funduszami — nie zdołano ani w Londynie ani w Nowym Jorku zrobić nic na podobną miarę — że nie mamy dosłownie poza albumem "Monte Cassino" ani jednego wydawnictwa artystycznego tej klasy, pokazującego Polskę i żołnierza polskiego, że np. nie wykorzystano zupełnie Czermańskiego, którego album "Warszawa" powinien był być dawno zamówiony i już teraz w sprzedaży, że niema dotychczas polskiego albumu Topolskiego, tak oddawna zapowiadanego. Na to napewno odpowiedzą nam, "bo"... Otóż skoro się widzi wydawnictwa Drugiego Korpusu, rozumie się, że nie może być żadnego "bo".

EICHLERÓWNA I ZIEMBINSKI

Dwoje znakomitych artystów naszych, przebywających od czterech lat w Brazylji — ma przybyć w najbliższym czasie do Stanów. Podobno już są wizy dla świetnej tragiczki Leny Eichlerówny i dla Zbigniewa Ziembińskiego, niezapomnianego Chopina z "Lata Nohant" i niewątpliwie najlepszego z naszych młodych reżyserów. Jeżeli przyjadą — doprawdy nie będzie rzeczy, której nasz "Polski Teatr Artystów" nie będzie mógł dokonać i nawet publiczności amerykańskiej pokazać.

POWTÓRZENIE "WARSZAWIANKI" I "DZIADÓW" NA ŻĄDANIE PUBLICZNOŚCI

Wobec niezwykłego powodzenia Warszawianki i Dziadów, Polski Teatr Artystów, na żądanie publiczności, która nie zdążyła jeszcze zobaczyć tego pięknego przedstawienia, postanowił powtórzyć Warszawiankę i Dziady jeszcze dwukrotnie 2 listopada o godz. 8.30 wieczór (czwartek) i 5 listopada o godzinie 2.30 po południu (niedziela). Te dwa dodatkowe spektakle są nieodwołalnie ostatniemi przedstawieniami tych sztuk, gdyż po niedzieli 5 listopada Polski Teatr Artystów wyjeżdża na zaproszenie tamtejszej Polonji do Bayonne i Newarku, a 17 listopada daje uroczystą premjerę nowej sztuki "Spadkobierca".

Radzimy wszystkim wielbicielom sztuki, którzy jeszcze nie widzieli Warszawianki i Dziadów by pośpieszyli podziwiać grę naszych artystów z Modzelewską, Gantkowskim, Modzelewskim i Nakoneczną na czele i usłyszeć dwa arcydzieła naszej literatury.

STOWARZYSZENIE PRAWNIKÓW POLSKICH

Stowarzszenie Prawników Polskich w Stanach Zjednoczonych A. P. zawiadamia, że w piątek dnia 10 listopada b. r. o godzinie 8 wieczór odbędzie się w siedzibie Stowarzyszenia (151 East 67 St., N. Y. C.) zebranie dyskusyjne, na którym Władysław M. Besterman, kierownik działu prasowego naszej Ambasady w Waszyngtonie, wygłosi odczyt na temat: "Od Genewy do Dumbarton Oaks". P. Besterman był przez długie lata korespondentem politycznym pism warszawskich z sesji Ligi Narodów w Genewie.



Jeden ze szkiców Zygmunta Turkiewicza z jego albumu p. t. "Monte Cassino"

KRZYŻ LOTARYŃSKI

Są ludzie, którzy się do dziś dnia zastanawiają czego chce generał de Gaulle, jakie są jego poglądy na przyszłość Francji i swiata, którzy skłonni są widzieć w nim niezwykle ambitnego polityka, dążącego do władzy i gotowego zagubić się, gdy trzeba będzie realizować na gruzach starej, nową Francję.

Otóż najlepszą odpowiedzią na te wątpliwosci i podejrzenia jest poprostu przypomnienie, że generał de Gaulle, jedyny z przywódców walczącej Europy, wystąpił pod symbolicznym znakiem, ktorym ozdobił swoje sztandary i który przeciwstawił pogańskiej swastyce a niedługo okaże się napewno, że również i godłom bolszewickim.

"Krzyż Lotaryński" — pod którym skupiła się wokół generała de Gaulle'a Francja Walczące, Francja honoru, Francja bohaterska i dumna, pragnąca zarazem wolnosci i ładu — był to Krzyż Joanny d'Arc, krzyż wiary w Boga i we Francję: Generał de Gaulle napewno nie przypadkowo wybrał go na swe godło, dając nam klucz do przewidywań, co zrobi i jaką pojdzie drogą.

CO Z POMNIKIEM JAGIEŁŁY

Kiedy parę tygodni temu postawiliśmy na tem miejscu zapytanie co z pomnikiem Jagiełły — dostaliśmy odrazu parę telefonow z zapewnieniem, że już, już tylko czekać a pomnik stanie w Central Parku. Ponieważ od tego czasu znów parę miesięcy upłynęło i daremnie na naszych spacerach wypatrujemy pięknej rzeźby Ostrowskiego — więc znów bardzo skromnie zapytujemy: "Co z pomnikiem Jagiełły?"

ANDRZEJ WITOS

Andrzeja Witosa, którego tak reklamowały Sowiety, choć był kiedyś "bebeckim" posłem — owego od pierwszej chwili miłującego Stalina zachwyconego Sowietami, "przedstawiciela ludu" już Sowiety jak to się mówi "spławiły" — gdyż pan Anrzej przyzwyczajony, iż w "pańskiej" Polsce mógł sobie jednak gadać, co mu ślina na język przyniosła — nie zorjentował się i coś powiedział co



WACŁAW LEDNICKI

znakomity slawista polski, którego książka p. t. "Life and culture of Poland" wyszła właśnie z druku nakładem "Royu".

nie było zgóry "uzgodnione". Czekać, a dowiemy się o pani Wasilewskiej, "że zginęła bez wieści". Jakto pisał kiedyś Hemar: — "Głucho będzie na Uralu, cicho będzie w Albert-Hallu?

NAGRODA NOBLA

Już jest oficjalnie wiadomo — że nagrody Nobla z dziedziny fizyki, chemji, medycyny, literatury będą w tym roku przyznane. Jeszcze raz przypominamy rządowi naszemu, który na czas wojny przejął prerogatywy naszych Akademji — konieczność zgłoszenia polskich kandydatów. Wiemy, że jeszcze za czasow pobytu rządu w Paryżu — minister Zaleski zgłosił kandydaturę Józefa Wittlina do nagrody literackiej. Co się stało dalej z tą inicjatywą? Czy zgłoszony został prof. Mokrzycki, ktory jak nas informują ma wszelkie szanse do nagrody z dziedziny fizyki. Czy nie należaoby poprzeć z polskiej strony prof. Funka, choć nie obywatela polskiego ale Polaka. Nasze Ministerstwo Oświaty powinno koniecznie energicznie wziąć tę sprawę w ręce, bo jesli nawet o przyszy rok chodzi— już jest czas najwyższy.

Z PRZEDWOJENNYCH DOWCIPÓW

— Czy idziesz na "Wesele" Wyspiańskiego?

— Nie. Poślę depeszę.

DYZIO

W Berlinie na ulicy znajdują zbłąkanego chłopca.

— Jak się nazywasz?

— Bubi.

— Jak się nazywa twój ojciec?

— Bubi.

— Jak się nazywa twoja matka?

— Bubi. Ja chcę do mamy.

Bezradny przechodzień zwraca się do policjanta i radzi dać ogłoszenie przez radio.

— Ale przez angielskie — woła malec— bo mój tatuś niemieckiego radia nigdy nie słucha.

LITERA M

Bardziej uświadomieni obywatele Związku Radzieckiego twierdzili, że ukazem Prezydenta ZSSR została zniesiona litera "M".

— Dlaczego?

— Bo przecież niema masła, mąki, miodu, mydła, machorki, mięsa, makaronu itd. Widocznie więc z alfabetu wyrzucono tę literę.